

KULTURA W SIECI
DLA DZIECI OD DZIECI



JAK ZNALEŹĆ PRZYGODĘ
CZĘŚĆ VIII - DOM



Jan Marković

JAK ZNALEŹĆ PRZYGODĘ

Część VIII - Dom

Podkarpackie Stowarzyszenie dla Aktywnych Rodzin
Rzeszów 2020

Dom

Ola, Tosia i Popiołek po raz pierwszy w trakcie swojej przygody naprawdę odpoczywali. W jej trakcie odczuli całą gamę emocji – od podniecenia, radości i satysfakcji po znużenie, rozczarowanie i gniew. Teraz był tylko relaks. Siedzieli na odkrytej przez siebie łodzi, a ta, prowadzona chyba jakąś magiczną siłą, płynęła w górę rzeki. Znaleźli w niej wiosła, ale nie trzeba z nich było korzystać. Bardzo szczęśliwie dla nich, bo przecież żadne z trójki nie miało ani siły, ani praktyki, by ich właściwie używać. Wiatr dął w rozwinięte żagle wystarczająco mocno, by pokonać siłę nurtu. Dziewczynki siedziały przy sterze, pomagając sobie w kręceniu nim, kiedy trzeba było pokonać zakole rzeki.

Przyjaciele nie wiedzieli dokładnie, gdzie są. Kierowali się z grubsza na południe, ale nie mieli pewności, czy są na Wiśłoku, na Sanie, czy na innej rzece. Nie mieli jedynie wątpliwości, że zmierzają

we właściwym kierunku i to chyba najbardziej ich uspokajało.

Niewiele mówili. Cieszyli się tylko widokami, które odsłoniły się, gdy wypłynęli z podziemi i które teraz rozpościerały się wokół nich. Lasy i łąki rozbrzmiewały ćwierkaniem i trelami ptaków, grą świerszczy, szumami trzcin i drzew. Stado saren obserwowało ich bez strachu z nieodległego brzegu. Sokół krążył nad ich głowami, a potem zanurkował z ogromną szybkością. Polował, ale czy coś złapał? Nie dostrzegli tego, bo zniknął im z oczu za grzbietem wzgórza.



Świat bez ludzi był spokojniejszy i pod wieloma względami ciekawszy, ale dziewczynki tęskniły już do domu. Do rodziny, do swoich łóżek i do wielu rzeczy, których przecież bez wysiłków człowieka by nie było. Książek, obrazów, melodii. Poznały je w trakcie tej swojej wyprawy i doceniły. Tak wiele cudów, które dzisiaj widzieli, zostało przez kogoś stworzonych – przez artystów i rzemieślników, którzy czynili swe otoczenie piękniejszym. Ola ponownie przypomniła sobie słowa taty o tym, jak ważne jest, że jego lampa naftowa jest śliczna. Poczuła, że lepiej swojego ojca rozumie.

Słońce stało już nisko nad horyzontem, gdy dopłynęli do celu. Stojący na dziobie łodzi Popiołek pierwszy zauważył drewniane domy stojące na lewym brzegu. Spojrzał raz jeszcze na ich mapę-przewodniczkę i pokiwał głową. Pokazał dziewczynkom by kierowały się ku małej przystani. Sam zrefował, czyli opuścił, żagle. Zwolnili i zaskakująco delikatnie przybili do pomostu. Krasnoludek wyskoczył i owinął linę cumującą wokół przypominającego grzybek słupka zwanego polerem.

Ola i Tosia wysiadły za nim i zarzuciły na ramiona plecaki.

- Gdzie jesteście? – zapytała Ola.
- W Sanoku – odparł krasnoludek. – Poznają to miasteczko.
- Sanok to spore miasto!- zaprotestowała Ola.
- Jesteście w Międzyzdrojach, pamiętasz? – upomniwała ją Tosia. – Rzeczy wyglądają inaczej. A te domy, dokładnie jak nasza Ruina przy Piaskowni, są chyba bardzo stare. Myślę, że nawet starsze niż 100 lat.

Przypomnieli sobie swoje pierwsze spotkanie w chacie, która wyglądała jak żywcem przeniesiona ze skansenu w Kolbuszowej, ale także to, że przecież w Sanoku też jest skansen.

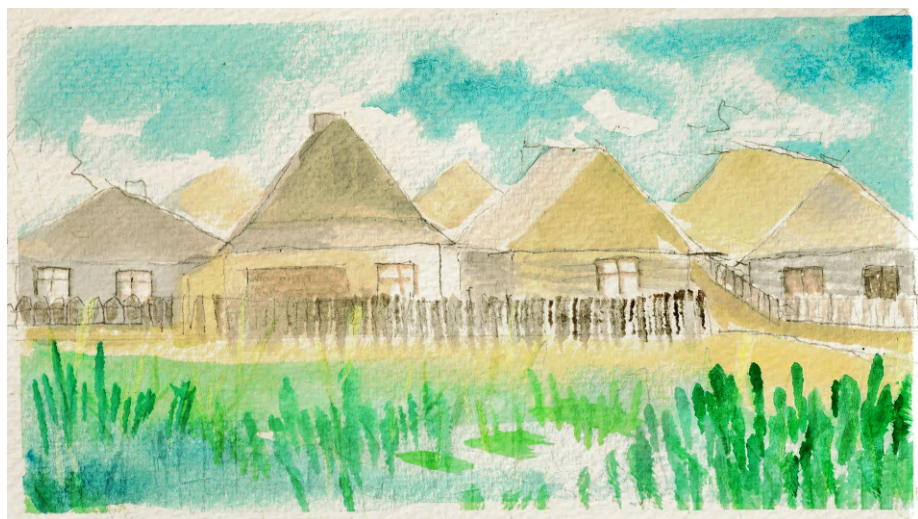
Weszli w uliczkę, między zadbane, parterowe domy. W wielu mieściły się jakieś sklepy lub warsztaty. Popiołek wyjaśnił, że tak to dawniej bywało: ludzie mieszkali w jednej części budynku, a pracowali w drugiej. Mieli tam swoje pracownie i biura. Jedni budowali je sami, inni dostawali mieszkanie wraz z pracą i był to świetny dodatek.

- Ta wyglądała Galicja – powiedział krasnoludek.
- Tak wyglądały miasteczka tej części imperium austro-węgierskiego, które tu panowało zanim Polska odzyskała niepodległość. Uczyliście się

o tym? – zapytał.

- Jasne – potwierdziła Ola. – Ja nawet wiem, że nazwa Galicja pochodzi od ludu Galów, którzy mieszkali tu tysiące lat temu. A „San” to po galijsku po prostu „rzeka”.

Teraz to ona chciała się popisać.



Doszli do sporej wielkości rynku wyłożonego drobnymi kamieniami. Zobaczyli na nim studnię i zaraz przypomnieli sobie tekst „Koniec niech zacznie się od wody”. Wcześniej założyli, że dotyczył on podróży łodzią, ale może chodziło o coś innego. Dlatego właśnie to do studni natychmiast się skierowali. Murowana konstrukcja kryła się

pod krytym gontem dachem wspartym na czterech palach. Tu miała znaleźć swój finał ich przygoda – tylko jaki? Jak mieli połączyć ze sobą cztery odnalezione odpowiedzi: słowo, melodię, obraz i rzemiosło?

- Patrzcie – powiedziała Tosia i pokazała palcem krawędź studni.

Na kamieniach znalazła chyba podpowiedź: cztery strzałki wskazujące różne kierunki. Na pewno miały zaprowadzić ich do konkretnych budynków, miejsc, w których należało szukać następnych fragmentów układanki. Postanowili zacząć od najbliższego sobie, południowo-wschodniego rogu placu. Od razu zauważyli, że najpierw złożą wizytę na oddalonej o zaledwie paręnaście kroków poczcie.

To aż dziw, ale Tosia nie pamiętała, by kiedykolwiek była w takim przybytku. Maile wysyłała prawie od momentu, kiedy nauczyła się pisać, a w pewnym sensie nawet wcześniej – bo dyktowała wiadomości mamie. Jednakże poza szkołą prawie nigdy nie pisała ręcznie. Kiedy więc ona, fanka i znawczyni komputerów, stanęła w środku tej starej poczty, nie za bardzo wiedziała, co tu się

robi. Wytlumaczyła jej wszystko dopiero Ola, która uwielbiała wysyłać pocztówki i listy.

- Pisziesz na kartce, wkładasz ją do koperty, adresujesz, ale dajesz ulicę, kod i miasto, a nie e-mail, kupujesz i naklejasz znaczek, wrzucasz do skrzynki...

- ... a potem listonosz bierze list i biegnie tam, gdzie trzeba go dostarczyć – powiedział Popiołek.

Przez chwilę wydawało się, że Tosia uwierzy w to ostatnie, ale jednak zorientowała się, że jest nabierana. Zaśmiała się tylko, bo była osobą, która potrafiła zażartować nawet z siebie.

Na środku pomieszczenia stała stół a przy nim rozłożono czyste kartki grubego, czerpanego papieru. W rogu zdobione były one delikatnym wizerunkiem gęsiego pióra. Obok leżały inne pióra, już nie ptasie, a takie bardziej nowoczesne, do pisania. Na niewielkiej wizytówce wykaligrafowano polecenie: Przekażcie słowo.

A więc znaleźli kolejne zadanie. Czyżby mieli odkryć wyraz, który należy wpisać na kartki? Tosia wyraziła takie przypuszczenie, ale Ola się zawahała. Tak wynikałoby z ich dotychczasowych

doświadczeń, jednak czuła, że tym razem jest inaczej. Mieli wysłać list, nie wiadomo do kogo, nie wiadomo o czym. Ponieważ jednak lubiła korespondować – ze swoimi dziadkami, z kuzynką mieszkającą za granicą – to wiedziała, że nie ma tylko jednego poprawnego sposobu, jak się z kimś porozumieć. To co innego niż układanie puzzli. Czy nie o to chodziło w sztuce, z którą ciągle się spotykali – o wyrażenie siebie, swoich własnych uczuć, własnych marzeń, własnych poglądów? O zrobienie czegoś tak, jak jeszcze nikt nigdy tego nie zrobił?

- Ja po prostu napiszę do rodziców – powiedziała. – Trochę przed nimi uciekłyśmy, ale ja chcę się z nimi podzielić naszymi przygodami. W końcu są moimi przyjaciółmi.

Po czym siadła do stołu i napisała swój list. Nie relacjonowała całej swojej przygody, na to przyjdzie jeszcze czas. Opowiedziała jednak o tym, jak ważny był dla niej dzisiejszy dzień i jak wiele się nauczyła. Chyba każdy z nas może sobie wyobrazić, co chciała przekazać, a nawet jeśli nie do końca odgadniemy, to czy to ważne? Przecież właśnie po to jest wyobrażnia, żeby nie do końca

odpowiadała rzeczywistości.

Tosia i Popiołek poszli za przykładem koleżanki, a gdy skończyli, zaadresowali koperty i wrzucili do skrzynki. Ola bardzo chciała podejrzeć, jaki też adres wpisał krasnoludek, ale on uważnie chronił swój list przed jej ciekawskimi oczami.



Potem przeszli do domku, który stał bardzo niedaleko. Już w sieni przywiało ich niezwykle urządzenie. Było to pudło umieszczone na niewielkim wózku, a z jego boku wystawała korbka. Dziewczynki nigdy takiego nie widziały. Popiołek zauważył ich zmieszanie.

- Nie wiecie, co to, prawda? – zapytał. – To

katarynka. Patrzcie, jak działa.

Złapał za korbę i zaczął nią kręcić. Rozbrzmiała muzyka. Jak to możliwe? Przecież Popiołek ani nie uderzał w klawisze, ani nie szarpał za struny, ani nie dmuchał w ustnik instrumentu. Choć, prawdę mówiąc, to ostatnie było bliskie prawdy. Wewnątrz katarynki znajdował się miech, który dzięki obrotom korby pompował powietrze do piszczałek, a kręcący się równocześnie wałek otwierał dostęp raz do jednych, raz do drugich. Dzięki temu z instrumentu wydobywały się różne dźwięki, a więc i muzyka!

Ola aż się zaśmiała z radości. Zaraz zaczęła tańczyć. Popiołek też się uśmiechnął. Sam kiwał się w rytm piosenki.

– Chodź tu! – powiedział do Tosi. – Kręć, proszę. Tylko pamiętaj – w równym tempie.

A gdy Tosia przejęła opiekę nad katarynką, krasnoludek podskoczył do Oli i zaczął z nią tańczyć, a przy okazji uczyć.

- To jest walc – mówił. – Walczyk. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. I wirujemy!

Zmieniali się przy katarynce, a ona grała i grała, jedną melodię za drugą. Raz wesole, raz smutne;

raz żywe, raz spokojne; raz ruszały się od nich nóżki i biodra, raz serce skakało w piersi. I każde z nich znajdowało w tej muzyce coś innego. Ola, zawsze spragniona coraz szybszych i szybszych rytmów, i we własnym domu korzystała z każdej okazji, żeby rzucić się w tan i porwać do zabawy tatę, mamę, brata. Teraz nic się nie zmieniło, tyle że kto inny jej partnerował. Dla Tosi, która też kochała muzykę, była ona nade wszystko dostarczycielką emocji. Inną puszczała sobie, gdy czuła się świetnie, inną, gdy potrzebowała pocieszenia, a jeszcze inną, gdy zasypiała nad nudnym zadaniem domowym i potrzebowała się rozbudzić. Rozbrzmiewające dźwięki katarynki prowadziły ją przez wszystkie uczucia, które towarzyszyły jej w trakcie tej przygody. A Popiołek? Cóż, nie do końca wiadomo, co o tym wszystkim myślał, ale najwidoczniej też kochał piękne piosenki. Czy te, które wygrywał, prowadziły go ponownie ścieżkami, które przewędrował w swoim życiu? Czy przynosiły wspomnienie noclegów na pościeli z gałązek, przepraw przez głębokie jaskinie, znojne pracy przy hutniczym piecu? Bardzo możliwe.



Mogliby się tak chyba bawić przez całą noc, ale z lekkim żalem stwierdzili, że ruszają dalej. Z drugiej strony, mieli podejrzenie, a więc i nadzieję, że za chwile znów spotka ich coś pozytywnego. Następna strzałka kierowała ich do przeciwnego rogu rynku. Chata, przed którą stanęli zapraszała otwartymi drzwiami. Weszli i wprawdzie zobaczyli sztalugi, a na nich niedokończony obraz. Rycerz na koniu przebijał włócznią ogromnego wężostwora wijącego się pod nogami wierzchowca. Kolory obrazu były inne, niż te, do których przyzwyczajone były dziewczyny. Tło błyszczało jak prawdziwe złoto, a zdumienie Tosi jeszcze wzrosło, gdy Popiołek powiedział, że w istocie widzi nie zwykłą

farbę lecz cieniutkie płatki tego cennego kruszcu. Ola zdziwiona nie była. Rodzina jej mamy była prawosławna i ona od razu zorientowała się, gdzie się znajdują.

- To ikony – powiedziała. - Święte obrazy. Ta przedstawia św. Jerzego walczącego ze smokiem.

I rzeczywiście, wszędzie wokół widać było podobne dzieła. Maria z dzieciątkiem, Jezus unoszący prawą dłoń w geście błogosławieństwa, zamyślony starzec o smutnych oczach siedzący na skałach...

- Prorok Elias – odczytała podpis Tosia. – Pięknie namalowane

- Mówi się, że ikony się pisze – wyjaśniła Ola, i dodała. – Dziadek tłumaczył mi, że ikony nie tylko po prostu przedstawiają świętych. One same są modlitwą.

Tosia była zaskoczona. Nigdy nie pomyślała, że modlić się można inaczej niż słowami. Choć po chwili namysłu dotarło do niej, że przecież słyszała o buddyjskich bębenkach modlitewnych, i o koralikach, które przesuwali pod palcami muzułmanie, i przecież odmawiany przez tylu Polaków różaniec też nie był zwykłą modlitwą, ale

również przedmiotem.

Potem pomyślała jeszcze, że wcale się nie dziwi, że dla kogoś obrazy mogą być aż tak ważne. Sama je przecież nieraz podziwiała. Dołączała do mamy, gdy ta przeglądała swoje albumy malarskie albo nawet po prostu oglądała filmy animowane. Niektóre z nich były przecież bardzo oryginalnie rysowane. Większość dzieci skupiała się na akcji i przygodach bohaterów, ale Tosia zwracała uwagę także na obraz. To też robiła pod wpływem swojej mamy, która czasem się dosiadała i dyskutowała z nią o właśnie obejrzanej bajce.

- Patrzcie. Tu są drugie, puste sztalugi – powiedziała Ola. – Myślicie, że trzeba coś namalować?

- Nie wiem, czy trzeba, ale ja chcę – odpowiedziała Tosia. – Choć ikony chyba nie dam rady stworzyć.

- Nie sądzę, żeby musiała to być ikona – dorzucił Popiołek. – Zróbmy to najlepiej, jak potrafimy.

Od razu zgodzili się, co trzeba namalować: ich wspólny autoportret. W końcu to właśnie był dla nich teraz najważniejsze, a po co się w ogóle brać za tworzenie obrazu na temat, których ich samych nie obchodzi? Jak z pisaniem, jak z muzyką, to

miało być coś, co odda ich emocje i wzbudzi podobne u osób, które ich dzieło zobaczą.

Zabrali się wspólnie do pracy i dobrze byłoby powiedzieć, że powstało arcydzieło, które natychmiast chciałyby u siebie wystawiać największe muzea świata. Tak się jednak nie stało. W końcu malowały dwie dziewczynki i niezbyt wprawny krasnoludek. Jednak przecież nie w tym rzecz, żeby od razu zostać gwiazdą sztuki. Chodzi o to, by spróbować coś twórczo pokazać. Ćwiczenia, próby, dobrzy nauczyciele – to wszystko sprawi, że zajdziemy na wyższy poziom.

Nie znaczy to wszystko, że Ola, Tosia i Popiołek wyprodukowali jakiś bohomaz, jakieś pełne kleksów paskudztwo. To był całkiem przyzwoity obraz. Nawet Tosia, która zwykle była krytyczna wobec swoich własnych dzieł, tym razem nie narzekała. Spojrzała na trzy postaci stojące na łodzi, spoglądające daleko przed siebie, jakby w poszukiwaniu kolejnej niespodzianki i skomentowała: Niezłe selfie!

Ola się zaśmiała, ale potem obie razem musiały wyjaśnić Popiołkowi, czym to selfie właściwie jest i jak się je robi, i po co. Nie bardzo pojmował to

wszystko, a najmniej jasne było dla niego, po co właściwie układać usta w dziubek. Cieszył się, że nie próbowali w ten sposób malować swojego zbiorowego autoportretu. Jemu się podobało tak, jak jest.

Została już tylko jedna chata. Nie mogli się doczekać, co w niej znajdą. Jakie rzemiosło, bo tylko to słowo z listy im zostało? Odpowiedź znaleźli szybko – byli w pracowni zegarmistrza, bardzo ważnego fachowca w czasach, gdy upływu czasu nie sprawdzaliśmy w smartfonach. Nie widzieli też zegarków elektronicznych. Stały tu wielkie, wahadłowe zegary ściennie, niektóre sporo wyższe od nich, a na półkach dostrzegali zegarki kieszonkowe, które kiedyś panowie nosili w swoich marynarkach i surdutach. Wyciągali je, przypięte dla bezpieczeństwa na łańcuszkach, otwierali małą pokrywkę i zerkali, gdzież tam teraz są te dwie małe wskazówki. Na stole roboczym leżały narzędzia i jeden zegar rozłożony na części. Niektóre z nich były tak malutkie, że aż dziw, jak ktoś mógł je precyzyjnie ze sobą łączyć i sprawiać, by działały bez zarzutu, bez żadnych spóźnień.

Dziewczynki dostrzegły też od razu urodę wielu

z tych przedmiotów. Tak, jak wcześniej w przypadku, hutniczej pracy Popiołka albo choćby lampy naftowej, od której zaczęła się ich podróż, zauważało się, że przedmioty codziennego użytku mogą być wyjątkowe. To nie były zegary, na które spogląda tylko po to, by sprawdzić godzinę. Wzrok zatrzymywał się na zdobionych obudowach, na nietypowych kształtach i kolorach. Kusiło, by ich dotknąć.



Nie zrobili tego. Na ścianie naprzeciw stołu czekała na nich zagadka. Na kołkach przytwierdzono do niej kilka kółek zębatach. Kolejnych kilkanaście kołków wbite było w deski. Przy tym najbardziej po

lewej znajdowała się mała ilustracja przedstawiająca tę właśnie pracownię. Przy ostatnim z prawej dziewczynki zaskoczył obrazek, na którym zobaczyły swój Sarni Lasek. Czy to na pewno on? – pytały zdumione. Ale tak, nie ulegało to wątpliwości. Tu była charakterystyczna kępa brzoź, a tu ścieżka w stronę domu Oli.

Przy listwie podłogowej uszeregowano więcej kół zębatach, mniejszych i większych. Obok nich leżała mała korbka.

- Trzeba to wszystko połączyć – powiedziała Tosia i zaraz pokazała co ma na myśli.

Zębátky trzeba było nasadzić na kołki i połączyć ze sobą. W pierwszą z nich włożyć korbkę i zakręcić. Ruch pierwszej sprawiał, że zaczynała kręcić się sąsiednia, potem następna, i tak aż do końca.

Zajęło im trochę czasu ustalenie, które kółko wędruje w które miejsce, ale w końcu im się to udało. Powstał jeden długi, wijący się sznur zębatek. Zakręcili korbą i gdy tak kręcili, zaczęły otwierać się niewidoczne drzwi. Czy za tą ścianą nie powinno być ogródka, który widzieli wcześniej za każdym prawie domkiem przy Galicyjskim Rynku? Nic takiego nie zauważyli. Zamiast tego zobaczyli coś

znajomego; coś , czego dziewczynki spodziewały się od chwili, gdy znalazły ilustrację przedstawiającą ich rodzinne okolice. Tak, tu zaraz, niedaleko, stały ich domy, jeden blisko szczytu wzgórza, drugi przy ulicy poniżej.

Ich przygoda dobiegała końca. Spojrzały na Popiołka, a ten się tylko delikatnie uśmiechnął.

- Idziesz z nami? – zapytała Ola.

Krasnoludek pokręcił głową.

- To nie mój świat – odpowiedział.

- To jak wrócisz do swojego? – dopytywała dziewczynka.

- O mnie się nie martwcie, ja znajdę drogę powrotną – zapewnił ją. – Powodzenia.

Machnął do nich ręką, odwrócił się i bez dalszych słów wyszedł z pokoju. Najwidoczniej nie był osobą, która lubiła długie pożegnania. Oli i Tosi zrobiły się trochę smutno. Krasnoludek bywał deenerwujący ale przecież wspierał je w tej niezwyklej przygodzie. Może kiedyś znów się spotkają?

- Czas na nas – powiedziała Tosia.

- Tak – odparła Ola i bez dalszych wahań przeszła bez drzwi. Gdy przyjaciółka stanęła obok, przejście za nimi zamknęło się i zniknęło. Widziały

tylko trawy, drzewa, a nieco dalej domy, w których ludzie pewnie szykowali się do kolacji. Ola ciężko westchnęła.

- Myślisz, że to już koniec? - zapytała.

- Nie wiem – odpowiedziała Tosia. – Nawet jeśli tak, to nigdy tego dnia nie zapomnę. A ty?

- No coś ty! – obruszyła się Ola i zaraz dodała – Tego nikt nam nigdy nie odbierze, prawda? Wspomnień i przeżyć. Wszystkie moje zabawki, nawet te najulubieńsze, kiedyś się zniszczą albo znudzą, a nasza przygoda pozostanie.

Tosia uśmiechnęła się szeroko. Nie musiała nic mówić. Wcześniej zastanawiała się, jaki jest ich cel, ale teraz zrozumiała, że to sama wędrówka była najważniejsza. Że wrażenia to skarby najbardziej warte zbierania.

Przyjaciółki przytuliły się na pożegnanie, a potem powoli, lekkim krokiem ruszyły w stronę swoich domów.

Tekst:
Jan Marković

Ilustracje:
Aleksandra Anzel

Podkarpackie Stowarzyszenie dla Aktywnych Rodzin
www.psar.pl

Rzeszów, 2020

Książka stworzona we współpracy z:
Gdziecko.pl – podkarpackim portalem rodzinnym

Copyright © 2020 by Jan Marković
Copyright © 2020 by Aleksandra Anzel
Copyright © 2020 by PSAR

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura w sieci”